

Kitsune



NA ZAWSZE

Autor: Kitsune

Edytor: Joleen

Okładka: Joleen

NA ZAWSZE

Rozdział I

- Cole! Poczekaj! Nie pędź tak! – Ze wszystkich sił staram się nadążyć za przyjacielem, który wyprzedził mnie o dobrych kilka metrów.

- To się pospiesz! Wleczesz się dziś jak ostatnia oferma! Takim tempem nie dotrzemy do domu przed nocą! – Chłopak odwraca się w moją stronę i obdarza zniecierpliwionym spojrzeniem.

- T-To nie moja wina... – czuję, jak broda zaczyna mi się trząść, a kolejna porcja niechcianych łez rozmazuje widoczność. Zatrzymuję się na środku chodnika, by nie ryzykować, że się potknę.

Nie tak dawno temu, przez przypadek wpadłem na jakiegoś mężczyznę, który mknął do pracy. Podczas swojego truchtu, popchnął mnie z taką siłą, że aż okulary spadły mi na ziemię. Gdy bezradnie próbowałem je odnaleźć, modląc się w duchu, by nikt ich nie zdeptał, znikąd pojawił się Cole. Widząc moją zapłakaną, przestraszoną twarz, postanowił wymierzyć napastnikowi kopniaka w goleń, jednocześnie besztając go za zaistniałą sytuację. Od tamtego wydarzenia nazywam go w myślach swoim „herosem”, ponieważ zawsze znajduje się blisko, chroniąc mnie przed czyhającymi niebezpieczeństwami. Jednak dziś najwyraźniej nie ochoty na zajmowanie się niezdarną beksą. Pędzi do domu niczym na skrzydłach, aby jak najszybciej powiedzieć rodzicom, że został doceniony przez trenera.

- Znowu beczysz? Jesteś gorszy niż dziewczyny, słowo daję... – odbija piłkę, która posłusznie zatrzymuje się tuż przy moich nogach, po czym podchodzi bliżej. – Daj – wyciąga rękę po moje okulary, a z bocznej kieszeni plecaka wydobywa opakowanie chusteczek. Jedną z nich przeciera szkła, natomiast drugą moje zapłakane policzki.

- Dzięki... – mamrocę pod nosem, wpatrując się w jego hipnotyzujące, jasnoniebieskie oczy, które schowane są za rozwianymi, jasnymi kosmykami platynowych włosów.

- Nadal cię boli? – pyta troskliwie, kładąc swoją szczupłą, bladą dłoń na moim kolanie. Choć obydwaj mamy po dziewięć lat i uczymy się w jednej klasie, to jemu przypadła rola „starszego brata”. Kiedy jest obok, czuję się znacznie bezpieczniej.

- N-Nie – kłamię, pociągając nosem i wlepiając wzrok w chodnik.

- Masz – oddaje mi okulary. – Załóż je i wracamy do domu – Cole zaczyna bawić się swoją piłką, dając mi jeszcze krótką chwilę, żebym się ogarnął. Gdy ruszamy przed siebie, chłopak okazuje się bardziej cierpliwy. Nie wyprzedza mnie, jak ma to w zwyczaju. Po prostu jest obok. Zachowuje się tak, jakby podświadomie czuł, iż właśnie tego najbardziej teraz potrzebuję. Zawsze tak było...

Cole i ja przyjaźnimy się od zeszłego roku, czyli od chwili, gdy nasi rodzice kupili sąsiadujące ze sobą domy. Mama postanowiła rozpocząć nowe życie, wolne od wspomnień związanych z moim ojcem, który zginął tragicznie w wypadku drogowym. Niezbyt dobrze go pamiętam, bo byłem wtedy dość mały. Poza tym tata zawsze dużo pracował i rzadko poświęcał mi czas, więc jego strata nie odbiła się na mnie zbyt boleśnie. Z mamą jest inaczej... W każdym razie, przebywanie w naszym starym domu sprawiało jej dużo przykrości. Często płakała i była smutna. Po przeprowadzce szybko zaprzyjaźniła się z mamą Cola. W wolnym czasie chodzą razem na zakupy lub oglądają seriale. My nie lubimy takich rzeczy. Zazwyczaj odrabiamy lekcje, a potem bawimy się w ogrodzie lub gramy w gry. Znaczący on gra, a ja czytam na głos różne historie. Uwielbiam czytać. Nie powiem tego na głos, bo Cole by się na mnie wkurzył, lecz jestem pewny, iż kocham książki znacznie bardziej niż on piłkę nożną...

- Jak było w szkole, urwisię? – pyta od wejścia pani Nixon, która siedzi wygodnie w fotelu w naszym salonie i od czasu do czasu popija sok pomarańczowy. Jest niezwykle piękną, wyrafinowaną, ale też stanowczą i pewną siebie kobietą. Jak to mówi moja mama „nie da sobie w kaszę dmuchać”. Pomimo figury modelki, jedwabistych blond włosów, opadających na ramiona i anielskiej twarzy, w jej oczach kryje się tajemnicza iskra pragnienia dominacji i wyższości. To prawdziwa bizneswoman z krwi i kości.

- Bardzo dobrze! – mój przyjaciel wreszcie ma okazję, by pochwalić się swoim dzisiejszym sukcesem. – Trener powiedział, że wezmę udział w zawodach sportowych. Będę reprezentował naszą szkołę!

- Naprawdę? – twarz sąsiadki rozjaśnia się od triumfalnego uśmiechu.
- Ponoć mamy sporą szansę, by wygrać taki wielki puchar! – z niekłamaną zazdrością obserwuję, jak Cole macha rękoma, żeby lepiej zobrazować swojej matce wielkość trofeum, które w rzeczywistości jest naprawdę imponujące.
- Jestem pewna, że się wam uda – kobieta unosi na mnie wzrok, przekonana o tym, że ja również wezmę udział w tym przedsięwzięciu.
- Dane nie został wybrany – chłopak zdradza mój wstydlivy sekret. *Gry zespołowe z pewnością nie są dla mnie. Tylko bym przeszkadzał innym zawodnikom...* – myślę w duchu, zachowując swoje zdanie dla siebie.
- Kochanie, tak mi przykro... – z kuchni wyłania się niewysoka brunetka. Ma kręcone włosy i duże, szmaragdowe oczy. Pospiesznie wyciera brudne od mąki ręce w biały fartuszek i gładzi mnie po włosach. Po raz kolejny zbiera mi się na płacz, lecz z całych sił próbuję powstrzymać łzy i obejmuję matkę za szyję, aby ją mocno uściskać.
- To nie jego wina. Trener kazał mu ćwiczyć bez okularów i oberwał od Paxtona piłką w twarz – przyjaciel uczynnie streszcza resztę historii, która miała dziś miejsce w szkole.
- Dane, czemu nic nie powiedziałaś? Mogłeś do mnie zadzwonić! Przyjechałabym po ciebie! – twarz mojej rodzicielki wyraża troskę. Przez właśnie takie „wypadki” traktuje mnie jak dziecko. Jestem dorosły. Nie chcę, by się martwiła. Szkoda, że Cole nie umie trzymać języka za zębami...
- Nic mu nie jest, pani Walter. Tylko się popłakał – chłopak bezceremonialnie łapie za moją brodę, aby łatwiej mi się przyjrzeć. – Myślałem, że będzie miał złamany nos, ale... – *Pewnie za chwilę powie, że to typowe dla przedszkolaka... Przecież ja jestem już trzecioklasistą!*
- Puszczaj – wrywam mu się, czując, jak palą mnie policzki.
- Moje biedactwo. Może powinnam zabrać cię do lekarza... Jak sądzisz, Cindy? – mama prosi o radę swoją przyjaciółkę. Gdy obie sąsiadki zaczynają rozważać wszystkie „za” oraz „przeciw”, Cole zdążył chwycić mnie za rękę.
- Dane czuje się dobrze, prawda? – Automatycznie przytakuję, kiwając głową, wdzięczny za to, że kolejny raz ratuje mnie z opresji. – Idziemy odrabiać lekcje

– ciągnie mnie za sobą na górę. Nie protestuję. Zazwyczaj robimy to, czego on chce.

Kiedy jesteśmy już w moim pokoju, chłopak rzuca plecak na podłogę i kładzie się na moim łóżku, podczas gdy ja podchodzę do biurka, żeby rozpakować książki.

- Mamy sporo zadane na jutro – niechętnie sięgam po podręcznik od matematyki i przesuвам wzrokiem po zadaniach. Rozwiązanie ich zajmie wieki. W dodatku głowa nieco mnie boli. Paxton jest całkiem silny. I tak miałem sporo szczęścia, bo gdyby to Cole strzelał gola, zapewne trafiłbym do szpitala...

- Ja swoje już zrobiłem – jego głos wrywa mnie z zamyślenia. Obracam głowę. Jasnowłosa sięga po pilota od telewizora. - Spisz wyniki, jeśli chcesz.

- Tak nie wolno! Pani mówiła, że powinniśmy sami odrabiać lekcje! – przypominam mu słowa naszej wychowawczynie.

- Mówiła też o tym, by pomagać chorym – dodaje beznamiętnie, wpatrując się w ekran plazmy.

- Ja nie jestem chory! – bronię się.

- Ale nie czujesz się też za dobrze, prawda? Spisz odpowiedzi, a potem pogramy – błękitne tęczęwki wpatrują się we mnie z dużą intensywnością. Dobrze wie, że zrobię wszystko, co mi każe. Jest znacznie odważniejszy ode mnie i bardziej pewny siebie. Świetnie radzi sobie w nauce i sporcie. Jest także lubiany i wszyscy marzą o tym, by bawić się z nim na przerwach. Ja jestem zupełnie inny. Nieśmiałość mnie paraliżuje. Najchętniej nie wychodziłbym ze swojego pokoju i cały wolny czas poświęcał wyłącznie czytaniu. Dziwi mnie, że ktoś tak fajny jak on, kto mógłby pojeździć z chłopakami na rowerze albo pójść popływać w basenie u Mata, woli marnować czas na oglądanie telewizji. – Co znowu? – w dodatku nic się przed nim nie ukryje...

- Nic – szepczę, uciekając od niego wzrokiem.

- Powiedz mi – domaga się, siadając na łóżku.

- Bo ja... – nie wiem, jak mam ubrać w słowa moje największe obawy, którymi nigdy wcześniej z nikim się nie dzieliłem.

- Bo ty co? – mój rówieśnik ponagla mnie w sposób nie znoszący sprzeciwu.

- Wiem, że wspólne odrabianie lekcji nie jest zbyt interesujące... – czerwienieję się, jakbym był dojrzałym pomidorem. Zaczyna brakować mi słów i jestem prawie pewien, że za chwilę kolejny raz się popłaczę, lecz nic nie mogę na to poradzić. Cole to mój pierwszy przyjaciel. Jest dla mnie bardzo ważny i za nic nie chciałbym go stracić. Przykro mi, że nie dorównuję mu w żadnej dziedzinie. Jeszcze bardziej przykro mi z powodu, iż koleguje się ze mną z litości, by taka ofiara losu jak ja, nie popadła w gorsze tarapaty.

- O czym ty bredzisz, Dane? – chłopak podchodzi bliżej, popycha mnie na biurko i układa dłonie na moich ramionach. – Jeśli znowu zaczniesz ryczeć, to przysięgam, że osobiście ci przyleję, jasne?

- Widzisz, właśnie o tym mówię! – wybucham. – Nie musisz udawać, gdy jesteśmy sami! Po prostu powiedz mi prawdę! Mama kazała ci się ze mną bawić, tak?! – przeżycia z dzisiejszego dnia oraz uświadomienie sobie własnych braków sprawiają, iż trudno mi milczeć.

- Mama? – powtarza po mnie to słowo, po czym zaczyna się cicho śmiać.

- Szydź sobie, jeśli chcesz, ale ja znam prawdę! Nie przyjaźnisz się ze mną z własnej woli! Je-Jesteśmy zupełnie inni i lubimy inne rzeczy! – wyrzucam z siebie wszystkie żale, które gromadziły się od pewnego czasu. Podobnie dzieje się w ulubionej grze Cola. Jeśli chce się zdobyć wyspę tylko dla siebie, należy udać się do czarownika i ukraść mu kapelusz. To niby nic takiego, zwykły impuls, który kończy się zaciętymi walkami rycerzy. Jedna strona zawsze przegrywa. Czuję nieprzyjemne ukłucie w sercu wiedząc, iż to ja za chwilę stracę osobę, która jest nie do zastąpienia.

- Skończyłeś już? – złotowłosa rzuca od niechcienia. Ignorowanie moich problemów powoli wchodzi mu w krew.

- Nieprawda! Jesteś tutaj, bo jest ci mnie żal, bo nie pojedę na zawody razem z wami, a ja...! Ja...! – zaciskam mocno dłonie w pięści. – Słyszałem, jak Paxton i inni śmiali się ze mnie, że nie zostałem wybrany do turnieju!

- Jesteś beznadziejnym piłkarzem. Za każdym razem kończysz grę, schodząc z boiska szlochając. Nie powinieneś się dziwić, że trener nie chce ryzykować. Przy pierwszej okazji zostałbyś znokautowany i musielibyśmy grać w osłabionym składzie – brutalnie podsumowuje moje sportowe wyczyny.

- Ja nie mówię o turnieju, ale o nas! – nie umiem dłużej nad sobą zapanować. Zalewam się łzami, przygnębiony wizją samotnej przyszłości.

- Dane, nie płacz – Cole przytula mnie do siebie, nie zważając na moje protesty.
– Zawsze będziemy najlepszymi przyjaciółmi, głuptasie! Obojętne, co się wydarzy – zapewnia. Gdy widzę sposób, w jaki na mnie patrzy... Po prostu wiem, że nie kłamie.

- Obiecujesz? – unoszę wzrok i spoglądam na niego z nadzieją.

- Przecież wiesz, że nie spuszczam cię z oka nawet na chwilę. Zawsze będę nad tobą czuwać.

Zawsze...

Jego dziecinne zapewnienie poprawiło mi humor tamtego dnia. Wspierałem Cola, gdy razem z drużyną zdobyli puchar, a także wtedy, gdy na moich oczach wyrósł na gimnazjalną „gwiazdę”. To właśnie wtedy nasze drogi się rozeszły. Zostałem odsunięty w cień. Porzucony, wzgardzony... Choć biegłem ile sił w nogach, nie nadążałem za nim. Jak zwykle wyprzedzał mnie o kilka długości, aż w końcu zupełnie o mnie zapomniał...

Po tych przykrych doświadczeniach nie potrafiłem odnaleźć się wśród rówieśników. Do dziś mam z tym spory kłopot. Będąc cichym i nieśmiałym, stałem się łatwym celem ataków ze strony innych uczniów. Zamknąłem się szczelniej w sobie, ograniczając interakcję z kolegami z klasy do minimum. Z czasem przywykłem do uczucia osamotnienia, które stało się moją codziennością.

Gdy teraz o tym myślę, to odnoszę wrażenie, iż Cole i ja od samego początku byliśmy zupełnymi przeciwieństwami. Wszystko nas różniło. Charakter, temperament, sposób bycia... Nawet wygląd. On był wysokim, niebieskookim blondynem, a ja miałem burzę niesfornych, ciemnych loków, które nigdy się nie układały. Jeśli doliczymy do tego jasną cerę i wiecznie podkrążone, migdałowe oczy, przemęczone z powodu nocnego czytania, nie prezentowałem się zbyt interesująco. Przypominałem raczej wychudzonego anemika. Daleko mi było do wysportowanego i wiecznie uśmiechniętego bożyszczka nastolatek.

Liceum nie uczyniło ze mnie osoby otwartej, czy atrakcyjniejszej. Nadal najlepiej czułem się w swoim pokoju, który wypełniały książki. Nie zdobyłem nowych przyjaciół, nie chodziłem na mecze, imprezy, z nikim się nie

spotykałem. Pogodziłem się z losem odludka i myślałem głównie o przyszłości. Pragnąłem studiować literaturę, a następnie pracować w jakimś niewielkim wydawnictwie, gdzie mógłbym skupić się na czytaniu książek.

Liceum to także okres, w czasie którego Cole zaczął mnie całkowicie ignorować. Choć wybraliśmy inny profil, to jednak na część zajęć chodziliśmy razem. Nasze mamy nadal się przyjaźniły, a my nie mówiliśmy już sobie nawet „cześć”.

W skrytości ducha liczyłem na to, iż studia okażą się okresem przełomowym. Uległem naciskom mamy i zdecydowałem się studiować na prestiżowym uniwersytecie, którego na początku zupełnie nie brałem pod uwagę. Mając wysoką średnią oraz zapewnione stypendium, widziałem się wśród studentów uniwersytetu stanowego, który znajdował się kilka przecznic od naszego domu. Jednak mama, jak to mama - od rana do nocy zatruwała mi życie. Ciągłe opowiadała o tym, że renomowana uczelnia da mi lepszy start, podtykała perspekty. Nie chciałem sprawiać jej kłopotów. Bezustannie się o mnie martwiła. Uznałem więc, że ta chwilowa separacja wyjdzie nam na dobre. Dopiero jakiś czas później okazało się, że przyszłość jedynaka nie leży jej na sercu tak bardzo jak to, iż Cole wybrał ten sam uniwersytet. Zarówno ona, jak i pani Nixon nie przyjmowały do wiadomości, że nasza przyjaźń skończyła się dawno, dawno temu. Bagatelizowały fakt, iż nie rozmawialiśmy ze sobą od kilku lat. W ich oczach wszystko było jak dawniej i nic nie mogłem na to poradzić.

Przebolełem nietrafiony wybór „wybitnej placówki naukowej”. Ostatecznie oprócz naszej dwójki studiowało tam kilkanaście tysięcy innych osób. Wypatrzenie dawnego znajomego wśród takich tłumów było równie realne, jak próba policzenia gwiazd na niebie lub ziarenek piasku na pustyni. Ta myśl dodawała mi otuchy, gdy nadeszła pora pożegnania domu rodzinnego i zamieszkania w akademiku.

Moje nowe lokum znajdowało się na piątym piętrze. Nie było zbyt duże, lecz specjalnie mi to nie przeszkadzało. Miałem własną łazienkę oraz lodówkę. Do tego całkiem niezły widok. Co prawda, studenci bardzo narzekali na ten budynek, bo był stary i nieco zaniedbany, lecz ja nie postrzegałem tego jako niedogodność. Było cicho, a tylko na tym tak naprawdę mi zależało. Nie pobiegłem razem z innymi, prosząc o przeniesienie. To był mój największy błąd...

Ani słowem nie skomentowałem faktu, iż Cole wylosował pokój znajdujący się tuż obok mojego. Musiałem naprawdę głupio wyglądać, kiedy z szeroko otwartymi ustami stałem na korytarzu i jak ostatni idiota obserwowałem jasnowłosego, który otoczony gromadką nowopoznanych znajomych zajmował się przynoszeniem swoich rzeczy z samochodu. W jednej ręce ścisnął sporych rozmiarów karton, a w drugiej pęk kluczy. Przytwierdzona do nich była granatowa smycz oraz miniaturka pucharu, który zdobył razem z drużyną za czasów szkolnych. To prezent od jego rodziców. Doskonale pamiętam, gdy go dostał. Powiedzieli mu wtedy, iż przyniesie mu szczęście. Mieli rację. Rzeczywiście wyglądał na szczęśliwego. Przystojny, inteligentny, wysportowany, z dobrego domu... No i towarzyszył mu wianuszek dziewczyn, wpatrzonych w niego, niczym w obraz. Czego chcieć więcej?

- Kto to jest? – zapytała jedna z nich, rzucając mi przelotne spojrzenie.

- Nikt – padła natychmiastowa odpowiedź. Zimne spojrzenie pełne pogardy przepełniło kielich goryczy. Odwróciłem wzrok i czym prędzej schowałem się w swoim pokoju. Oparłem się plecami o drzwi i zamknąłem oczy.

Czy może być jeszcze gorzej?